

Autentyczny tekst byłej wychowanki - Ramony

Można powiedzieć, że właściwie od samego mojego początku jestem „państwowym”, „instytucjonalnym” dzieckiem. Jako niemowlę zostałam oddana do Domu Małego Dziecka w dużym mieście na północy Polski...

Nie lubię wracać do przeszłości, ale ponieważ jest ona częścią mojego życia, to nie mogę schować jej gdzieś głęboko i zapomnieć. Nie da się oddzielić poszczególnych jej etapów, ponieważ tylko połączone w całość mogą dać pełny obraz mojej osoby. Można także powiedzieć, że właściwie od samego mojego początku jestem „państwowym”, „instytucjonalnym” dzieckiem. Jako niemowlę zostałam oddana do Domu Małego Dziecka w dużym mieście na północy Polski przez kobietę, która mnie urodziła. Po kilku miesiącach trafiłam do adopcji. Moim nowym tatą został pan, który był ważnym urzędnikiem a mama była pracowniczką jednej z większych fabryk tego miasta. Niewiele pamiętam z tego okresu, tylko poszczególne sceny mam zawsze przed oczami: wizyty policji (wtedy milicji), ogólny chaos, jakieś ciche dyskusje, obcy ludzie. Pamiętam mamę, która spała ubrana w śliczną czerwoną sukienkę obszytą futrem z białego lisa, babcię, która płakała, dziadka mówiącego do mnie, że wszystko będzie dobrze, i że to co się stało było okropne. I jeszcze tatę niezwykle smutnego, ze spuszczoną głową siedzącego w kuchni i tulącego się do swojej foxterierki. Mama już nie wróci, odeszła. Kilka dni później wprowadziła się „ciocia” z dwójką synów i od tej pory wszystko się zmieniło. Już nie mogłam spać w moim pokoju, bo chrapałam i przeszkadzałam chłopakom spać. Nie mogłam dostać czekolady, którą opychali się chłopcy, bo byłam bezglutenowa, nie mogłam przyprowadzić koleżanki, bo „nie ma teraz na to czasu”, byłam po prostu „gułą”, powodem rodzinnych kłótni, prowodyrką bójek, niszczycielem rajstop, butów i zabawek, używanych zresztą, bo mi nie warto nic nowego dać. A jak ktoś zapytał kim jestem, to zawsze usłyszałam tę znienawidzoną odpowiedź: „To ta przyszywana córka”. To bolało bardziej, niż gdybym usłyszała, że jestem obca. Ciągle byłam „ta gorsza”, i tak się zresztą czułam. Jedyłą moją pociechą było odwiedzanie dziadków w niedzielę, o co bardzo walczyli w sądzie z ojcem. Tylko oni mówili mi, że jestem ładna i mądra, że będę kiedyś panią doktor i że kochają mnie najbardziej na świecie, że czekają na mnie i tęsknią. Dziadkowie potwierdzali moje przypuszczenia, że jestem traktowana niesprawiedliwie, że „ona” (nowa żona ojca) nie może traktować swoich chłopców jak króli, mojego tatę jak maszynkę do zarabiania pieniędzy, a mnie jak piąte koło u wozu. Bo choć wiem, że uczyłam się o wiele lepiej od chłopaków, to nigdy mnie nie pochwalono za świetne świadectwo. Gdy nabierałam więcej jagód, jak jeździliśmy do lasu latem, czy szybciej sprzątnęłam pokój chłopaków, pocerowałam swoje rajstopy z dziurą na kolanie, to za każdym razem było coś złe, coś, co powinnam była zrobić jeszcze lepiej, szybciej. Któregoś dnia dostałam jak zwykle za swoje, nie pamiętam już za co, ale zbiegło się to z wyczekiwaną wizytą u dziadków. Wieczorem, gdy babcia pomagała mi się umyć zobaczyła pręgi po „prezesie” (gumowy wąż) i moje życie znów się zmieniło. W poniedziałek rano trafiłam do Państwowego Domu Dziecka, tato rozwiązał adopcję. A więc wróciłam skąd przyszłam, na swoje miejsce... Straszne miejsce. W salach spało po sześć i siedem osób, maluchy (od 6 lat) ze starszakami, wychowawcy krzyczeli na wszystkich i trzeba było uważać, by nie zarobić w ten głupi łeb. Trafiłam do pokoju, między innymi, „dużych” – Karoliny i Janki. Kazały mi sprzątać za nie pokój, prać swoją bieliznę. Ciągle opluwały, szydziły, że mam „babcinowe” rzeczy, że krzywe zęby, że śmiech mam jak kobyła, że jestem brzydka i głupia, że do niczego się nie nadaję. Biły i szturchały, kazały sobie przynosić śniadanie do pokoju i oddawać kieszonkowe... Poskarżyłam się tylko raz, ale usłyszałam od Pani Mirki, że dziewczyny przecież mają rację, bo mam krzywe zęby i niemodne rzeczy i nie powinnam oskarżać dziewczyn starszych, bo one są już tutaj długo i pilnują porządku, a ja jestem zwykłą kłamczuchą, bo nikt nigdy się na nie skarżył. Od tego dnia było już tylko gorzej. Budziły mnie w nocy bym posprzątała w szafce, zamiotła dywan, umyła WC. Już nigdy więcej się nie skarżyłam, bo wiedziałam, że będzie jeszcze gorzej. W mojej głowie coraz częściej zaczęła się pojawiać pewna myśl, idea, marzenie, potrzeba... Prześladowały mnie słowa mojej babci, że przecież ja mam mamę. Tę prawdziwą. Nie przybraną, przyszywaną, tylko moją... Więc być może oddała mnie, bo coś się

wydarzyło, ale może mnie już teraz chce, może mnie sama szuka. Przecież minęło 9 lat, odkąd mnie oddała a mi zmieniono imię i nazwisko... Może ją spotkam... Nie poszłam tego dnia do szkoły (moje pierwsze węgry), tylko wsiadłam do pociągu w kierunku miasta. Nie było kłopotu z dojazdem, bo nie raz słyszałam, jak trzeba się zachować, by oszukać „kanara”. W mieście jeździłam autobusami, tramwajami i przyglądałam się kobietom, zastanawiając się, czy akurat ta jest może moją mamą... Oczywiście mamy nie spotkałam, a kierowca któregoś autobusu po prostu wezwał policję i znów wróciłam, skąd przybyłam. Wiedziałam, jaka będzie kara za ucieczkę: pasiak (piżama) na tydzień, karny dyżur dodatkowy, odebranie kieszonkowego, zakaz wyjść „na miasto”, zakaz odwiedzin i odebrana przepustka na święta do babci i dziadka. Ale dowiedziałam się też tej nocy, jakie „atrakcje” za „zryw” przygotowały mi Karolina z Janką: Wzięły mnie do łazienki, „skopały dupę” i ścięły na „jeża” moje długie do pasa włosy. Rok przed Pierwszą Komunią Świętą. Zostałam łysą uciekinierką... Płakałam strasznie, wstydziłam się swojego wyglądu i nienawidziłam tego świata jeszcze bardziej. W głowie miałam ułożony następny plan ucieczki i solenne przyrzeczenie, że ten koszmar się już niedługo skończy, bo tym razem znajdę swoją mamę choćby nie wiem co... W „bidulu” na drugi dzień miałam oczywiście rozmowę z dyrektorem i pedagogiem, którzy wiecznie pytali, po co uciekłam. Ale jak miałam im odpowiedzieć, skoro nie umiałam ubrać w słowa swoich uczuć, myśli. Zresztą i tak by mnie wyśmiali, jak zrobili to wychowawcy z grupy, od których usłyszałam, że gdyby matka mnie chciała, to by nie oddała, a skoro oddała, to nie chce takiego jak ja niewartego nic bachora. Bolały te słowa bardziej niż policzek, który dostałam za ucieczkę. Takich poszukiwań mojej mamy miałam kilka, może kilkanaście. Już nie pamiętam. Nie pamiętam też wiele więcej z Domu Dziecka, nie pamiętam współwychowanków, wakacji, świąt, innych wychowawców. Nie pamiętam tych powrotów i tego bym zdążyła zapuścić włosy. Zrobił się po prostu schemat, norma mojego życia, która składała się z planu ucieczki, wpatrywania się w obce kobiety, nadzieje i bezsensowne rozmowy po powrotach... Błędne koło. Po którejś ucieczce, trzy lata po tym jak przyszłam do „bidula”, już do niego nie wróciłam. Policja zawiozła mnie do Pogotowia Opiekuńczego w mieście. Tu po kilkutygodniowym pobycie w grupie zamkniętej przesłam do grupy „zwyklej”. Pech chciał, że i jedna z wychowanek Domu Dziecka też tutaj była, więc... wszystko zaczęło się od początku: bicie, plucie, poniżanie, wyzwiska... Tym razem spróbowałam się poskarżyć i dziewczyny dostały wieszakiem od jednego z wychowawców. Niestety ten wychowawca nie był tam codziennie, a one tak. On wracał do domu, a ja z nimi zostawałam w pokoju, musiałam z nimi być na co dzień, jeść, spać, żyć. Gdy poskarżyłam się raz jeszcze to... przeniesiono mnie do grupy zamkniętej. Nie byłoby tak źle, bo czułam się bezpieczna w tej grupie. Wszystko było w porządku przez pół roku, dopóki w tej grupie nie zjawił się pan Piotr, który miał tylko nocki. Często, gdy myślał, że śpimy przychodził po jedną z dziewczyn, z którą zamykał się w pokoju wychowawców. Nie obchodziło mnie to, po co z nią tam chodził, ale widziałam, że tamta dziewczyna ma więcej przywilejów, że ta dziewczyna nawet fajki może palić bezkarnie. Nie rozumiałam, o co chodzi, miałam przecież tylko niespełna 12 lat. Nie mniej nic mi do tego, zresztą nigdy nie mieszałam się do takich konszachtów, czułam że nie powinnam się do tego mieszać, że to nie jest mój świat. I pewnie nigdy bym się nie dowiedziała o co chodzi, gdyby nie to, że tamtą dziewczynę wywieziono do Zakładu, a pan Piotr pewnego wieczoru przyszedł po mnie. Okropny, obleśny, brodaty, wstrętny dziad zaczął mnie dotykać, kazał się dotykać i mówił jakie to przyjemne i miłe. A przecież to było straszne. Nigdy tego nie zapomnę. Nic mi nie zrobił, bo wszedł do pokoju wychowawców jeden z chłopaków, ale następnego dnia uciekłam przy najbliższej okazji. Ta ucieczka skończyła się, jak zawsze, zatrzymaniem przez policję. Wstyd mi było podać prawdziwy powód ucieczki, zresztą - kto by mi uwierzył? Przecież pan Piotr to szanowany wychowawca a ja... Poza tym wszyscy wiedzieli, że policja sama nieraz wypuszczała dziewczyny na „zrywach”, które wcześniej zatrzymywała. Choć ja dopiero teraz się dowiedziałam i rozumiałam znaczenie tych słów. Przyjechałam do Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w samym centrum Polski. Kolejny rozdział mojego życia zaczął się tak samo, jak w poprzednich placówkach. Była jedna różnica: Tam były same dziewczyny i to dużo bardziej podłe, bezwzględne i wulgarne, niż jakiegokolwiek, które przedtem spotkałam. Z czasem jednak się okazało, że różnic jest sporo więcej i wcale nie chodzi o kraty w oknach. Tutaj byli inni wychowawcy, inny pedagog

i psycholog. Nie zadawali mi pytań, na które nie mogłam odpowiedzieć, nikt nie kazał mi się asymilować z grupą na siłę. Nie pozwolono, bym znów była bita i poniżana. Pozwolono mi „zamieszkać” w oddzielnym malutkim, przejściowym pokoiku, w którym faktycznie tylko spałam. Ten pokój był moim azylem, ostoją, moim miejscem. Pani psycholog często ze mną rozmawiała, nie oceniała, nie krytykowała, była miła. Wraz z upływem czasu stała się moją panią Krysią, która nie tylko była psychologiem, ale także osobą, która pamiętała o moich urodzinach, imieninach, która zabrała mnie na święta Bożego Narodzenia do swojego domu. W tym Ośrodku był także pan Romek, który stał mi się najbliższą osobą w moim życiu, który starał się mnie zrozumieć, pomóc, wytłumaczyć, co czuję i dlaczego tak reaguję, który pocieszał i dawał nadzieję na przyszłość, który stawał w mojej obronie i nigdy we mnie nie wątpił. To on stał się moim wzorem i siłą napędową. Wszystko co robiłam w Ośrodku, szkole, robiłam z myślą o tej dwójce najbliższych mi ludzi. Natrętne szukanie swojej biologicznej matki zniknęło i nigdy już nie wróciło. Teraz wiem, że zastąpiła ją ośrodkowa pani psycholog, moja ukochana Krysią, z którą do dzisiaj mam kontakt i która nigdy mnie nie zawiodła. Zaufanie tych dwojga ludzi było i jest dla mnie bardzo cennym skarbem, którego za nic nie chciałabym stracić. Ale i dla nich samych także stałam się bliska. Chcieli zmienić moje życie i dać mi nowy kochający dom, dlatego zrobili wszystko bym go znalazła. Jako, że byłam w pełni „państwowym” dzieckiem, postanowili ruszyć sprawę mojej adopcji. Ponieważ miałam już ponad 12 lat, zapadła decyzja o oddaniu mnie do adopcji do pewnego południowego kraju. Najpierw miałam pojechać na wakacje, by poznać ludzi, kraj, język i obyczaje. Był lot samolotem, potem dojazd na miejsce, gdzie były konie i psy i tych dwoje ludzi. Wspaniałe widoki, przejażdżki konne, wypadki na lody i zakupy. Ona trochę niezadowolona, że wolę konie od haftowania, psy od zajęć domowych, a on, szczęśliwy, spędzał ze mną mnóstwo czasu. Języka nauczyłam się bez kłopotu, obyczaje poznałam, choć niektóre wydawały się być co najmniej dziwne, ale nie przeszkadzało mi to cieszyć się wspaniałościami, jakie były mi dane. Więc się cieszyłam przez całe wakacje. Wróciłam do mojego domu, do Ośrodka, do mojej pani Krysi i pana Romka. Zapadła decyzja, że adopcja dojdzie do skutku. Nie wiem, czy była to moja decyzja, bo ja już swój dom miałam, za którym bardzo tęskniłam, w tym też za końmi i psami...Minął rok i znów poleciałam do tych ludzi, do swojego konia i pięknego pokoju, który czekał specjalnie na mój powrót. Tym razem starsza, pewniejsza siebie, bez paniki, że już nie zobaczę mojej pani Krysi i mojego pana Romka, bo przecież cała procedura będzie trwała bardzo długo, więc jadę tylko na wakacje. Postanowiłam nauczyć się haftować i spędzać z miłą panią więcej czasu, ale umówiliśmy się, że będę to robiła tylko wtedy, gdy pogoda nie pozwoli by być z końmi i psami. Jako, że język już znałam to i nieporozumień nie powinno być z niezrozumieniem się nawzajem. Tym razem wakacje zapowiadały się jeszcze lepiej, niż poprzednio. Obdarowali mnie mnóstwem prezentów i więcej czasu spędzaliśmy razem, choć nie zawsze. I to nie zawsze, to jest właśnie ten mały szczegół, który potrafi być goryczą, niszczącą cały mlekiem i miodem płynący raj. Któregoś razu będąc w stajni przyszedł do mnie on, ten mój przyszły, nowy tata. Okazało się jednak, że on nie widzi we mnie swojej przyszłej, nowej córki, ale przyszłą, nową kochankę...Czułam już w trakcie pierwszego pobytu, że coś nie gra, bo przecież tylko on całował mnie w usta, co opisałam w pamiętniku, który dostałam od mojej pani Krysi przed pierwszym wyjazdem. Trach! Koniec! Skończyło się. Okazało się, iż ta rodzina miała już jedną kandydatkę na swoją córkę, która bez podawania przyczyny zrezygnowała. Była o rok ode mnie starsza... W moim ośrodku skończyłam osiem klas szkoły podstawowej ze świetnymi ocenami (bardzo się starałam, by moja Krysią i mój pan Romek byli ze mnie dumni) a w nagrodę miałam jechać do jedynej wtedy MOW z liceum (u nas była tylko podstawówka), niestety aż na południu Polski. Jak się o tym dowiedziałam, to strasznie żałowałam, że tak się uczyłam. Znów widmo utraty ukochanych osób powróciło, znowu będę sama, niczyja, państwowa. Nie wiem, co sobie myślałam i na co liczyłam, bo przecież wiedziałam, że kiedyś skończę ósmą klasę i trzeba będzie się pożegnać, ale odganiałam te myśli, bo bardzo mnie zasmucały. Na nic się zdały pocieszenia, że przecież będę przyjeżdżać na przepustki, że są przecież listy, telefony, i że to tylko trzy lata. Dla mnie to żadne argumenty. Miałam tutaj swoje miejsce, „pekin” był moim domem. Te wszystkie zajęcia organizowane przez MOW, wycieczki, uczestnictwo w WOŚP, formy teatralne, wyjścia do kina, teatru, spotkania

z wyjątkowymi ludźmi, ale przede wszystkim harcerstwo, w którym także odnalazłam swoje miejsce. Zresztą po raz pierwszy byłam dumna z siebie, gdy otrzymałam swój krzyż harcerski. Mundur dodał mi wiary we własne możliwości, „pokazał mi”, że mogę zrobić coś, coś osiągnąć i że nie zostanie to zignorowane, ale będzie docenione, i że można być z tego dumnym, tak po prostu. Teraz miałam to wszystko zostawić... Drugi „pekin” to katastrofa i choć nie pojechałam sama, bo kilka innych dziewczyn z mojej klasy było ze mną i sama moja Krysia zawiozła nas tam, to już od wejścia czuło się inną atmosferę. Zimno, dominujący przejmujący chłód..., nie w sensie fizycznym, ale emocjonalnym. Tutaj nie było takich wychowawców, nie było rozmów, zajęć, poznawania nowych ludzi, wymiany poglądów. Tutaj były sztywne zasady i ...modlitwa. Okropnie zimne „kozuchy”(siostry zakonne), wszędobylska hipokryzja, sztuczność i ten przejmujący chłód. Najpierw próbowałam naprawiać świat, pokazać „kozom”, że to co robią nijak się ma do tego, co mówią, ale to było jak walenie głową w mur. Sztywność bezwzględnych zasad, mówienie o miłosierdziu i tłuczenie niedostosowanych dziewczyn było na porządku dziennym. Gdy zbliżała się jakaś kontrola, bo skarg było sporo, to byłyśmy instruowane, jak postępować i co mówić. I lepiej by się żadna nie wyłamała, bo perspektywa „kary bożej” była okrutna, od braku klasyfikacji do następnej klasy, poprzez karne zamknięcie w pokoju w pasach bezpieczeństwa. Niestety panowała też zasada odpowiedzialności zbiorowej...To znów nie był mój świat. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego...Nie skończyłam liceum, w połowie drugiej klasy przeniosłam się do zawodówki

(w tym samym miejscu), którą skończyłam pół roku później i wróciłam do babci. Taki był układ z siostrą dyrektorem. Jeśli zdam w pół roku całe trzy klasy szkoły zawodowej, to wrócę do domu babci, mając lat 17. Minęło od tych zdarzeń wiele lat, wiele się też potem wydarzyło w moim życiu, ale to już inna historia. Dzisiaj mam 35 lat, troje wspaniałych dzieci i ukochanego męża. Mam swoją rodzinę, o której zawsze marzyłam, która jest dla mnie wszystkim co mam, co kocham i bez czego nie wyobrażam sobie życia. Moja rodzina jest moim szczęściem, siłą i mocą w walce o lepsze jutro, dla niej zrobię wszystko. Będę ją chronić przed złem tego świata, póki żyję. Ich szczęście i uśmiech to naderzędna rzecz i nic ponadto, bo dla nich żyję. Moja rodzina to moja najwspanialsza i największa wygrana.

Ramona